

W PALARNI OPJUM

Statek znowu skoczył tak raptownie, jak koń, uderzony niespodziewanie ostrogą; kilku podróżnych z wyższego pomostu I-ej klasy zleciało z trzcinowych foteli na sąsiadów, ja uderzyłem głową jakiegoś jasnowłosego olbrzyma, schowanego w żółty waterproof.

— Do diabła! — zaklął po polsku.

Odpowiedziałem również energicznie, bo jednocześnie uderzyłem ramieniem w poręcz fotelu.

— O, rodak! — zawołał, pomagając mi wrócić do równowagi.

— Tak!

Zajrzeliśmy sobie w oczy zbliżając się, bo tylko jedna latarnia, przyczepiona do masztu, słabo oświetlała pomost.

— Widziałem obywatela w Paryżu, na Łuku Triumfalnym.

— Istotnie, byłem... — ale nie mogłem sobie przypomnieć jego twarzy. — Obywatel z Królestwa? — zapytałem, aby coś powiedzieć.

— Ze świata! — odpowiedział zimno.

Nie pytałem się więcej, i siedzieliśmy w milczeniu.

Morze w dalszym ciągu pieniło się w bezsilnej złości. Świsł wicheru i rytmiczny łoskot machin okrętowych zlewał się z burzliwym i dzikim krzykiem morza, które ze wszystkich stron, falami powichrzonemi, błyskającymi gipjurą pian, szło, rzucało się, biło bezustannie w boki żelazne statku i spadało zmiażdżone w otchłanie, ze zgiełkiem, podobnym do łkania złości bezsilnej.

Noc bez chmur i bez gwiazd przysłoniła zielonawą czarnością przestrzenie, wsączała się cicho w morze i jakby obejmowała je w swoją moc posępną. Czuło się jej chłodne i wilgotne dotknięcie. Ta świadomość, że się jest zawieszonym pomiędzy dwiema otchłaniami, wody i przestrzeni, że się jest na łasce żywiołu, który co chwila miota się w paroksyzmie wściekłości, i czyha, aby pochłonąć wszystko, co mu się opiera, przenika dziwnym dreszczem rozkosznego niepokoju. Siedzi się oczarowanym i jest wtedy prawdziwą rozkoszą i wiatr, i burza, i smaganie — żyje się życiem morza.

Płynie się na grzbietach fal, połyskujących jakąś dziwną białością, niby zarysami bladych widm, i słucha się głosów morza.

Nie czuje się wtedy ani obawy, ani życia, czuje się tylko, że jest dobrze o niczym nie wiedzieć i nie myśleć, biernie poddawać się fali i płynąć w tę noc, przy śpiewie orkanu. Dusza jakby się zlewa z ciemnością i rozprasza w przestrzeniach. Latarnie strażnicze dalekiego jeszcze Newhavenu zaczęły przeblyskiwać, a potem pyliły się złotymi gwiazdami, niby jutrznie na czarnym widnokręgu.

Głosy fal potęgniały, statek rzucał się coraz bardziej i jakby uciekał szybciej od tych chłodnych i złych uścisków morza. Zeszliśmy do kajut, bo trąby okrętowe zaczęły ryczeć, a łańcuchy świateł portowych wyłaniały się zupełnie z nocy.

Rodak przedstawił mi jakiegoś Chińczyka, którego nazwał swoim przyjacielem, i siedliśmy razem do herbaty i pogawędki.

— Do Londynu jedziecie?

— Tak, jeździmy co miesiąc.

Chińczyk o rysach wysubtelniejszych, jakby to była jedna z tych figurek, rzeźbionych przez jego rodaków z taką maestrią, milczał.

— Przyjaciel mój nie rozumie ani po polsku, ani po angielsku, ale to dzielny chłop. Poznaliśmy się w Formozie. Ja byłem w Legji, on przedstawiał podobno Czarne chorągwie, ofiarowano mu narazie stryzynek, ale w drodze łaski pozwolono żyć. Poznaliśmy się w Pambo, żyli, dopasowali i dobrze nam z tem.

— Dobrze pan zna Londyn? — spytałem, bo mi błysła myśl, że może zna adres palarni opjum, o której wiedziałem, iż jest w Londynie, ale adresu dostać nie mogłem znikąd, pomimo gorączkowych poszukiwań.

— Znam dosyć dobrze.

— Może pan wypadkiem wie co o palarni opjum?

Polak odsunął się nieco, spojrzął bystro na mnie, powiedział kilka słów do Chińczyka, z którym zamienił spojrzenie porozumienia, bo jakiś uśmiech tajemniczy i słaby przeleciał im po twarzach, i zwrócił się do mnie.

— Palileś już pan kiedy?

— Nie, nigdy, ale chciałbym. Chciałbym sprawdzić, o ile faktyczne wrażenia palacza opjum są podobne do snutych na ten temat.

— Pomędzy opisami a rzeczywistością jest bardzo małe podobieństwo. Wrażenia te są wprost niemożliwe, aby je opisać lub opowiedzieć.

Spojrzałem na niego zdziwiony, bo kiedy kończył, oczy mu się przysłoniły jakby mgłą, twarz znieruchomiła i cofnęła się w głąb, a na ustach wił się dziwny uśmiech omdlewania.

— Znam to dobrze. Byłem dość długo w Chinach, a zresztą i w Londynie istotnie jest miejsce, gdzie można wypalić fajkę opjum.

— Więc znacie adres? — zawołałem uradowany.

— Ba! Jesteśmy stałymi abonentami — odpowiedział cicho.

Zacząłem go prosić bardzo o wprowadzenie. Zamienił kilka słów z Chińczykiem i załatwiliśmy interes krótko. Trzeba było dwóch rzeczy: mieć funt na zapłacenie wejścia i dać uroczyste słowo niezdradzenia tajemnicy.

Wsiedliśmy w Newhaven do pociągu londyńskiego, a w kilka godzin stanęliśmy już na stacji Victoria.

Zamieniliśmy bilety i umówiliśmy na godzinę 8-mą wieczorem spotkanie.

Z ogromną niecierpliwością czekałem tego wieczora. Zaledwie mi się udało namówić mego towarzysza, aby należał do tej wycieczki, bo sam trochę się obawiałem puszczać z ludźmi nieznanymi i w nieznaną dzielnicę Londynu.

O 8-mej już moi znajomi byli. Wsiedliśmy w Charing Cross do pociągu i pojechali w kierunku Bridge Tower i Doków.

Po godzinie przeszło jazdy wysiedliśmy na jednej z krańcowych stacyj, stamtąd „cab'em”, i wpół godziny stanęli przed długim domem z czerwonej cegły.

Tu była palarnia.

*

* *

Rodak załatwił wszystkie formalności, a ja z doktorem wszedłem do wysokiej i długiej sali.

Kilkanaście osób już tam było, i coraz ktoś wchodził. Usiadłem na jednej z sof, które stały pod ścianami, w gąszczach olbrzymich palm. Elektryczne światło z zielono-złotych tulipanów, kołyszących się u sufitu i w gałęziach krzewów, wlewało barwny mrok. Białe, puszyste dywany tłumiły kroki. Cicho było. Ci, którzy mówili, mówili szeptem powolnym, reszta rozciągała się w milczeniu na żółtych jedwabnych sofach.

Wodotrysk na środku sali wyrzucał ogromną kaskadę rozpylonej w mgłę wody i mienił się wszystkimi barwami.

Zabarwiona reflektorami woda podobna była do tęczy, buchającej cudownym słupem światła z głębi marmurowego basenu, i dzwoniła jakąś melodię nieopisanie słodką.

Ze srebrnych kadzielnic w niszach płynęły lekkie, niby słoneczne pasma dymu, kołysały się w mroku i rozwłóczyły po sali mgły denerwującej woni.

Wachlarze z olbrzymich białych piór strusich, osadzone w brązowych trzonach, osłaniały niektóre sofy.

Tyle było piękna artystycznego w urządzeniu sali owej, że się z rozkoszą wciągało tę harmonję barw żywych, a przysłonionych, światłał przyciemnionych, konturów łagodnych, jedwabów miękkich, ciszy pełnej szmerów fontanny i plusku długich, zielonych, o płaskich głowach węży w basenie.

Już bez opjum można było śnić rozkosznie.

Światła przygasły zupełnie, tylko ten słup wody świecił złotem, rubinem, chalcedonem i szmaragdem. Z nisz szły jakieś istoty małe, z płomyczkami w ręku, rozpraszały się po sali i ginęły w ciemnicach palm. Dreszcz mnie dziwny przejął całego i obezwładnił. Przymknąłem oczy z jakąś trwogą rozkoszną. Dotknięcie jakieś delikatne i usłyszałem głos niezmiernie dźwięczny. Podniosłem powieki: przede mną, o ilem mógł rozpoznać w tym mroku, stała młoda dziewczyna, jedna z tych cudnych, filigranowych, uosabiających wdzięk i słodycz, Japoniek. Była tak piękna, że mi się wydała widzeniem raczej, niż kobietą; nie mogłem oczu oderwać od niej. Podąła mi długi, zakończony ogromnym bursztynem, cybuch. Wziąłem go w usta, a ona przyklęka i swojemi śmiesznie małymi rączkami ulepiła stożek opjum, włożyła w otwór fajki, zbliżyła płomyk i cicho, najczystsza angielszczyzną szepnęła:

— Wciągnij pan wszystkie dym w siebie.

Usłuchałem.

Poczułem obrzydliwy, wstrętny wprost zapach spalonego opjum. Ociężałość niezmierna zaczęła się rozlewać po moich żyłach, powieki mi zapadły, fajka wysunęła mi się z rąk, ale jej nie miałem siły zatrzymać. Czułem, że spadam, chciałem się zerwać, ostatkiem świadomości rzuciłem się naprzód, ale ból dziwny i mocny mię przeniknął, i pamiętam, że leciałem w ten basen czarodziejski.

*
* *

— Ocknąłem się. Pamiętałem, że paliłem opjum. Pamiętałem wiele rzeczy poprzedzających. Sądziłem, że już po wszystkim, więc się obejrzałem na pokój. Nic zeń nie zostało. Błękitna nieskończona przestrzeń mnie otaczała. Białawe jakieś światło przesączało się zewsząd. Czułem, że mnie ogarnia ten rodzaj zdumienia silnego, który prowadzi do obłądu. Strach samotności i szaleństwa przeniknął mnie, ale to krótko trwało.

„Śnię!” — pomyślałem. Spojrzałem na siebie. Nie zobaczyłem nic. Tak, kiedy jakimś ruchem stałym mózgu chciałem podnieść rękę, nie było jej. Nie zajmowałem wcale miejsca.

Uczułem, że jestem tylko świadomością.

Poznałem, że nie widzę, nie czuję, nie słyszę, tylko wiem. Białawy obłoczek mgły to byłem ja. Ilekroć przypominałem sobie cokolwiek, to płomienie błękitne i purpurowe, niby błyskawice, wylatywały jakby z tego mojego ja.

Spokój szczęścia niezmiernego czułem w sobie. Przebiegałem jakieś światy czarodziejskie. Płynąłem w zielonym strumieniu światła. Byłem we wszechświecie. Miljardy słońc kołysały się dokoła, jakby kwiaty białe, żółte i purpurowe. Niezliczone wiry płomieni przebiegały przestrzenie. Widziałem uśmiechy gwiazd. Nie czułem nic, prócz niewypowiedzianego szczęścia. Byłem wszędzie, a nie mogłem chcieć, byłem jak rozpląnięty, przenikający, wszędzie obecny. Wtem poczułem okropny ból, jakby kto wziął duszę moją w żelazne, rozpalone ręce i ścisnął z całej mocy. Straciłem przytomność.

*
* *

— Wciągnij pan wszystko — szeptała Japonka, zapalając jeszcze większy stożek opjum.

Wciągnąłem.

Znowu inne światy!

Czarodziejskie baśnie Szeherezady, ogrody Loreley, jaskółczane pałace w głębiach jezior nie były tak piękne, jak to, com ujrzał. Nie była to ziemia, ani niebo, ani sen, ani rzeczywistość, było to coś, czego język ludzki nie nazwie, a mózg nie wyśni.

Otaczały mnie drzewa, ludzie, ziemia — z płomieni. Wszystko było w zarysach. Osłepiający blask, pełny uśmiechów, słów, spojrzeń — otaczał mnie zewsząd. Te kontury poruszały się, szły, rozsypywały, łączyły zpowrotem. Słupy światła kolorowego, deszcze ognia, kule płomieni wirowały nieustannie dokoła mnie.

Potem te błyski jakby się rozpierzchły, ujrzałem ciemny granat nieba, pełnego gwiazd jasnych, i jakieś czerwone kobierce pod sobą. Nieskończone szeregi złotych kolumn wyrastały niby las. Olbrzymie liście paproci o twarzach długich, poznaczonych zielonemi żyłami, kołysały się z uśmiechem sennym. Nie widziałem oczu, ust, wyrazów; widziałem tylko uśmiechy. Potem coś, jak muzyka harf, płynęła z przestrzeni, i z tych dźwięków świetlnych wyłaniały się postacie kobiet. Pochylały się do mnie, brały wpół za ręce i tańczyły. Widziałem je, jak białą wstęgą na tle złota i purpury migotały przede mną szatami mieniącemi się, niby rżysko na jesieni, omotane pajęczyną.

Przesuwały się, wracały, okrążały mnie tak, że czułem dotknięcie ramion złotych, czułem ogień źrenic, błyszczących jakimś karbunkułowem światłem, widziałem, jak te z jaspisu ciała zarumieniała krew, niby zorze wschodu szyby stawów. Uśmiechały się. Ten uśmiech nie miał ust, wyrazu, znaczenia, a był wszędzie i przyciągał nieprzeparcie. Leciałem jakby na jego fali, jakieś włosy długie osłoniły mnie, i czułem usta jakieś na ustach, i szepty słodkie, i dotknięcia świetlane przenikały czemś niewypowiedzianie słodkiem. Potem jakaś głębia lasu olbrzymiego. Dęby olbrzymy, pnie o twarzach ludzkich, o rękach długich w miejsce gałęzi, stały, i śpiew głęboki, potężny, rytmami szerokimi, jak świat, płynął ze wszystkich stron, łączył się i rozlewał w przestrzeniach ciemnych, deszczem błysków coraz silniejszych. Olbrzymie strumienie wody płynęły w powietrzu, ponad lasem, a te tłumy kobiet znowu spływały zewsząd, przechodziły obok mnie i tonęły w kaskadzie śpiewów. Śniłem, a z całą świadomością myślałem:

— Czy ja śpię, żyję, czy umarłem?

Naraz znikło wszystko. Zobaczyłem ten sam pokój. Chodziłem od niszy do niszy, odchylałem wachlarze i oglądałem wszystko, a nie było nic, i nie było nikogo. Była tylko jakby emanacja wszystkiego, tylko ciała astralne drzew, ludzi, sprzętów, coś, jak cienie nikłe majaczyły. Szedłem dalej!

Zobaczyłem samego siebie.

Nie, nie potrafię streścić choćby wrażenia.

Patrzyłem na siebie, leżącego na sofie. Gdybym wtedy miał mózg, jak zwykle, oszalałbym.

Chciałem zawołać na tego sobowtóra, nie mogłem, chciałem go poruszyć, nie mogłem, bo nie miałem czem, nie byłem żadną formą, byłem eterem, pojęciem. Burza strasznego ucisku wrzała we mnie.

„Umarłem... umarłem...” — myślałem z jakąś niewypowiedzianą żrącą rozpaczą, zimno okropne mnie owionęło.

— Gdzie ja jestem? Co się stało ze mną? — oto mniej więcej w ten sposób formułowały się myśli we mnie. Błądziłem po tym pokoju, wracałem do tej sofie, na której widziałem się rozciągniętym, aż znalazłem się przed dużym zwierciadłem. Zobaczyłem gładką powierzchnię, jak przez mgłę, odbijającą zarysy przedmiotów, ale siebie w niem nie widziałem.

Ratunku! Obudźcie mnie!...

Zdawało mi się, że krzyczę, zdławiony kurczem strachu bezmiernego.

*

* *

— Chcesz pan jeszcze? — zapytała cicho Japonka.

Wachlarz szeleścił cicho i rozwiewał chłód orzeźwiający. Czułem to, słyszałem głos, ale nie śmiałem otworzyć oczu, bo nie wiedziałem dobrze, gdzie jestem. Dopiero, poczuwszy poprawianie poduszki pod głową, otworzyłem oczy i machinalnie wziętem fajkę do ust i jeszcze raz długo wciągałem dym w siebie. To samo wrażenie zapadania się i przebudzenia.

Byłem na morzu. Czułem, że płynę rozkrzyżowany, miałem zwykłe kształty.

Zdawało mi się wtedy, jak i dzisiaj, kiedy to piszę, że mam zupełną przytomność.

Płynąłem, nie zdając sobie sprawy, skąd się wzięłem. Widziałem jasny błękit nad sobą, słońce i zielone wody oceanu, czułem pieszczotliwe muskania wiatru, słyszałem odległy szum fal, bijących o jakieś skały,

mewy z krzykiem przeciągłym unosiły się nade mną, później ogarnęła mnie wielka cisza, jakby wszystko obumarło i oniemiało. Morze się rozstąpiło pode mną, i zleciałem w głąb na jakąś taflę wody, a z tej spadałem wciąż coraz niżej. Zielony mrok przesłaniał mi wszystko, widziałem przez wodę, że niebo jest czerwone, a słońce pomarańczowe — i spadałem. Ani strach, ani ból, ani zadziwienie nie poruszyło się we mnie. Potem płynąłem jakąś wewnętrzną rzeką Oceanu, przepływałem doliny, pełne skał, roślinności dziwnej, nisz, i wypłynąłem na jakąś przestrzeń, gdzie wszystko było białe.

Zadrzałem i jakbym się ocknął z drętwienia, ujrawszy nagle, z rozwianymi włosami, oczyma wytrzeszczonymi, postacie ludzkie dokoła. Płynęły wprost na mnie, czułem ich dotknięcie, lodowatą śliskość ich ciał, wstrętną miękkość ich włosów. Łączyły się jak w wieniec, i otaczały mnie coraz ciaśniej. Gdzim spojrział, głowy zielonawe, oczy, ręce, nogi, ciała porozrywane, usta otwarte jakby do krzyku, dłonie zaciśnięte, istny sabat trupów napół rozłożonych na dnie Oceanu.

Cisza była bezmierna, a ja nabrzmiewałem wprost obrzydzeniem i strachem, ale krzyknąć ni poruszyć się nie mogłem.

Spadały na mnie, zagradzały mi drogę, zaczepiały o mnie, a ja, jak jeden z nich, leżałem martwy, bez ruchu, na dnie głębin nieznanych, z krzykiem rozpaczony coraz większym w duszy.

Potem te wszystkie ciała jakby się łączyły z sobą i zrastały; był to niby polip olbrzymi o tysiącach głów i ramion, który gonił mnie. Widziałem, że te sine usta odmykają się i zęby długie, ostre połyskują złowrogo, a oczy zaczynają świecić płomieniami krwawymi.

Odzyskiwałem wolę i moc jakąś ogromną, rzucałem się naprzód z rozpaczą szaleństwa, uciekałem w głąbie, wychlustywałem na powierzchnię, rozpląszczałem się na falę, rozlewałem się w grzywach pian, ale ten potwór biegł za mną, gonił mnie po wszystkich szlakach, chwycił i otaczał ze wszystkich stron, czułem ostrość jego szponów, owiewał mnie oddech gorący.

Kiedym już ani cała przestrzeni wolnej nie ujrzał, tylko te skręty potworne wokół, spotężniałem. Widziałem się w ich mocy, widziałem, że się podnoszą głowy, wyciągają ręce, ciała wydłużają, że potwór rzuca się na mnie.

Nie, niepodobna jest opisać tę walkę, ten ucisk, gdy mnie oplątywały ciała, ból niewypowiedziany, gdym poczuł miljarde zębów w sobie, i tę siłę, jaką poczułem.

Pamiętam tylko, że brałem się wprost za bary, biłem pięścią, rwałem zębami, miażdżyłem głowy i czułem ciepły strumień krwi, płynącej po mnie...

Potem już ani bólu, ani nic... o władnął mną szal walki i zwycięstwa.

Morze się rozkołysało, fale piętrzyły się, niby porwane szczyty gór, pioruny niebieskimi wstęgami biły w morze, wichry wyły, jak stado szatanów. Woda we wściekłych wirach biła w niebo, a orkan zamiatał dno. Leżałem na grzbiecie fal i płynąłem. Poczulem się tak potężnym, że widziałem, że przeze mnie przepływa strumień wielkiej potęgi.

Takie bezbrzeżne, boskie uczucie szczęścia i spokoju było we mnie, iż czułem, że w mózgu moim jest wszystko: życie i śmierć, zniszczenie i tworzenie, wszechświat cały.

*

* *

Kiedym się obudził, mój towarzysz siedział przy mnie. Chciałem jeszcze opjum, ale mnie prawie siłą wyprowadził. Sam nie palił, czuwał nade mną.

Gdy to piszę, jesienny wiatr szumi na dworze, a drobny deszcz sływa po szybach i jest tak zimno i posępnie na świecie szarym, na polach, ogołoconych ze zbóż, w powietrzu sinem, że z rozkoszą wspominam obrazy tego nie snu, lecz rzeczywistości czarodziejskiej. Niedokładny opis, ale język ludzki to topór, którym trzeba rzeźbić kryształ uczucia; nic dziwnego, że bryły nieforemne i szpetne wychodzą, zamiast posągów.

